

ALBATROS

GENERAL i PANNA



Daphne
du Maurier

Jeden z najpiękniejszych romansów
w historii literatury!



Tytuł oryginału:
THE KING'S GENERAL

Copyright © The Estate of Daphne du Maurier 1946
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Anna Bańkowska 2000, 2024

Korekta: Dorota Jakubowska, Sabina Raczyńska

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Ilustracje: rawpixel/freepik (*złote ornamenty na obwolucie*); vectorhight/freepik (*broń na obwolucie*); freepik (*róża*); maruf555777/freepik (*pałac na obwolucie i wyklejkach*); freepik (*ramka na okleinie*); dr.digitex/freepik (*liście na obwolucie i wyklejkach*); aksol/freepik (*ciernie na wyklejkach*); Margaret Jone Wollman/Shutterstock (*postać kobieca na okleinie*); nightwolfdezinez/Vecteezy (*postać na koniu na okleinie*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Wrzesień roku 1653, schyłek lata. Czuje się już pierwsze zimne podmuchy jesieni. Słońce nie atakuje wschodniego okna w chwili mojego przebudzenia, ale podąża opieszale w stronę wzgórza, nie dociera jednak na szczyt wcześniej niż o ósmej. Biała mgła okrywa zatokę nieraz i do południa, snuje się nad mokradłami, a kiedy wreszcie ustąpi, zostawia po sobie powiew chłodu. Dlatego wysoka trawa na łące nigdy nie wysycha. Chociaż dawno minęło południe, każde źdźbło błyszczy i srebrzy się w słońcu nieruchomymi wielkimi kroplami. Leżąc tutaj samotnie, znacznie więcej uwagi poświęcam przypływom i odpływom, które jakby są wpisane w stały rozkład dnia. Kiedy woda spływa z bagien, odsłaniając stopniowo pomarszczone i zbite piaski, zaczyna mi się roić, że ja także wraz z falą sunę ku morzu, a wszystkie moje skrywane i niby to dawno pogrzebane marzenia wychodzą na światło dzienne niczym muszelki i kamyczki na plaży.

Dziwne, a zarazem radosne uczucia towarzyszą takiemu osuwaniu się w przeszłość. Niczego nie żałuję, jestem szczęśliwa i dumna z mojego życia. Mgła i chmury zniknęły, słońce stoi wysoko na niebie i grzeje rozkosznie, przyklaskując mojemu odpłynięciu

w dawne dzieje. Jakże błękitne i nieujarzmione jest morze, kiedy podfryzowane fale pędzą, jedna za drugą, na zachód, a ciemno-purpurowy cypel Blackhead wyciąga łagodnie pochyłone ramię ku głębokiej wodzie. Raz jeszcze – choć wiem, że to tylko wyobraźnia – wydaje mi się, że ten odpływ dokonuje się zawsze w samo południe, kiedy nadzieje sięgają szczytu, a w sercu panuje błogi spokój. Nagle jednak na mój pogodny nastrój zaczyna nasuwać się cień. Za cypłem Dodman zbierają się z wolna pierwsze wieczorne chmury i długimi palcami sięgają ku wodzie. Morze przybiera; z początku oddalone i nieszkodliwe, przemawia coraz głośniejszym, pełnym chyłkiem w stronę plaży. Fala powraca. Znikają białe kamienie i muszelki, woda kryje piasek i moje marzenia schodzą do grobu. Kiedy zapadnie ciemność, a fala przypląwu ogarnie mokradła, wejdzie Matty. Zapali świece, szturchnie pogrzebaczem drwa w kominku i samą swą obecnością wniesie nieco ruchu. Jeśli odpowiadam jej lakonicznie albo w ogóle milczę, kręci głową z naganą i przypomina, że koniec roku zawsze źle na mnie wpływał. Ach, ta moja jesienna melancholia... Nawet w odległych czasach, gdy byłam młoda, nadciągała z regularnością zegarka, a wtedy Matty niczym rozgdakana kwoka przeganiała każdego gościa: „Panienska Honor nikogo dziś nie przyjmuje”. Rodzina szybko do tego przywykła i zostawiała mnie w spokoju, chociaż słowo „spokój” kiepsko oddaje nastrój czarnej rozpaczki, jaka mnie wówczas opadała. Dobrze już, dobrze... to minęło, a przynajmniej skończyły się okresy złego humoru – bunt ducha przeciw pokiereszowanemu ciału i chwilom wielkiego bólu, który nie dawał wytchnienia... To były batalie młodości, które odeszły już w przeszłość. Teraz tkwię w jarzmie wieku średniego i o tym także dałoby się wiele powiedzieć. A jednak rezygnacja ma swoje dobre strony. Martwi mnie tylko, że nie mogę już tyle czytać. Kiedy miałam dwadzieścia pięć czy trzydzieści lat,

książki dawały mi wiele pociechy. Niczym prawdziwy akademik pracowałam ciężko nad łaciną i greką; nauka stanowiła część mojej egzystencji. Teraz okazuje się, że nic mi to nie dało. Cynizm, jaki przejawiałam za młodu, z wiekiem niebezpiecznie się pogłębia, tak twierdzi Robin. Biedny Robin. Bóg jeden wie, że czasem marna ze mnie towarzyszka. Zresztą jego także lata nie oszczędziły. Ostatnio mocno się postarzał, może dlatego, że się o mnie martwi? Często – myśląc, że już śpię – rozprawia z Matty o swoich obawach co do przyszłości. Słyszę szmer ich głosów z salonu. Natomiast w mojej obecności zawsze przybiera tę swoją pogodną minę, a wtedy serce ściska mi się z żalu. Brat! Kiedy siedzi obok, przyglądam mu się chłodnym, krytycznym okiem (zawsze tak patrzę na bliskie mi osoby) i dobrze widzę, że ma worki pod oczami, a przy zapalaniu fajki drżą mu ręce. Czy to naprawdę ten sam w gorącej wodzie kąpany lekkoduch? Czy naprawdę gnał kiedyś do boju z sokołem na ręce? Czy zaledwie dziesięć lat temu wiódł swoich ludzi na Braddock Down, ramię w ramię z Bevilem Grenville'em, wymachując przed nosem nieprzyjaciela szkarłatną chorągwią z trzema złotymi tulejami? Czy wreszcie tego mężczyznę widziałam kiedyś w świetle księżyca, jak bił się z rywalem o wiarołomną kobietę?

Dziś taka myśl wydaje się czystą kpina. Mój biedny Robin z siwiejącymi kędziorami opadającymi w nieładzie na ramiona... O tak, wojna nieźle dała się we znaki nam obojgu. Wojna i Grenville'owie. Kto wie, czy Robin wciąż jeszcze nie czuje do Gartred tego co ja do Richarda. Nigdy nie rozmawiamy o tamtych sprawach. Została nam tylko zwykła, szara codzienność. Z perspektywy czasu nie widzę ani jednego spośród naszych przyjaciół, którego ominęłoby cierpienie. Tak wielu odeszło, tylu zostało bez grosza przy duszy. Nie zapominam również, że i my z Robinem jesteśmy na cudzej łasce. Gdyby Jonathan Rashleigh nie użyczył nam tego

domu, nie mielibyśmy gdzie mieszkać, jako że Lanrest już nie ma, a Radford wciąż zajmują obcy. Jonathan wygląda na steranego starca. To przez ostatni ciężki rok spędzony w więzieniu St Mawes, no i jeszcze śmierć Johna. Natomiast Mary niewiele się zmieniła. Trzeba czegoś więcej niż wojna domowa, by odebrać jej pogodę ducha i wiarę w Boga. Alice z dziećmi wciąż z nimi mieszka, ale ten nicpoń Peter nigdy jej nie odwiedza. A przecież dawniej... Myślę o pewnym wieczorze, kiedy zebraliśmy się wszyscy w galerii. Alice i Peter śpiewali, a John i Joan siedzieli przy kominku, trzymając się za ręce – wszyscy tacy młodzi, właściwie jeszcze dzieci. Nawet Gartred ze swą wyrachowaną złośliwością nie mogłaby zepsuć nastroju tamtych chwil. To Richard, mój Richard, z rozmysłem zniszczył cały czar jedną ze swoich okrutnych uwag, a potem patrzył z uśmiechem, jak pryska nasza wesołość i swoboda. Nienawidziłam go wtedy, chociaż rozumiałam, co go podkusiło.

Oby Bóg skarał przeklętych Grenville'ów, myślałam wtedy. Dlaczego krzywdzą wszystkich wokoło, dlaczego samym tonem głosu obracają szczęście w rozpacz? Co sprawiło, że okrucieństwo stało się dla nich czymś w rodzaju nałogu, dającego niemal zmysłową rozkosz? Jakież zły duch stał nad ich kołyską? Myślę o tamtych dwojgu, bo Bevil był zupełnie inny. Powaga, uprzejmość, troskliwość, niezłomne zasady moralne, czułość wobec dzieci, zarówno własnych, jak i cudzych, czyniły z niego ozdobę rodu. I obaj synowie przejęli po nim te cechy. Nie zauważyłam nigdy w Jacku ani Bunnym najmniejszej skazy. Za to Gartred... Te oczy żmii pod burzą złotorudych włosów, te harde, zmysłowe usta... Nawet za dawnych czasów jej małżeństwa z moim bratem Kitem wydawało mi się absolutnie nie do wiary, że mogłaby kogoś zwieść. A jednak potęgą uroku Gartred była wręcz zniewalająca. Moi rodzice miękli wobec niej jak wosk, a nieszczęsny Kit wpadł od samego początku,

podobnie jak później Robin. Ale mnie nigdy nie zmyliła, nigdy, ani na chwilę. Cóż, teraz już po jej urodzie. Będzie nosić swoją bliznę aż do grobu. Cienka czerwona kreska sięga od oka do ust, tam gdzie trafiło ostrze. Plotka głosi, że mimo to Gartred nadal mie-
wa kochanków, a jej ostatnią zdobyczą stał się ponoć jeden Carey, ten, który przypadkiem zamieszkał nieopodal niej w Bidefordzie. Jestem w stanie w to uwierzyć. Nie przepuściłaby żadnemu sąsia-
dowi choć trochę ładniejszemu od diabła, a Careyowie zawsze byli przystojni. Kto wie, teraz, kiedy już wszystko minęło, może potra-
fiłabym zdobyć się na przebaczenie. Pomysł igraszek z George'em Careyem – Gartred musi być od niego ze dwadzieścia lat starsza – przydaje nieco koloru naszej szarej rzeczywistości. Bo też i jest szara: smętne miny, znoszone ubrania, kiepskie zbiory i podupadły handel, wszędzie jak okiem sięgnąć zubożała szlachta i wynędzniały lud – oto szczęśliwe skutki wojny. Szpiedzy lorda protektora (Boże, cóż za ironia kryje się w tym tytule!) siedzą w każdym miasteczku i każdej wiosce, więc w razie najcichszego nawet protestu przeciw władzy buntownik natychmiast ląduje pod kluczem. Prezbiterianie mocno dzierżą wodze w chciwych łapskach, a zyskują na tym tylko parweniusze, tacy jak Frank Buller, Robert Bennett czy nasz stary wróg John Robartes, słowem: ludzie, którzy chwytają, co się da, i w nosie mają zwykłego człowieka. Obyczajnie dziczej, kurtuazja to wartość zapomniana, nikt już nie ufa żadnemu z sąsiadów. Oto nowy, wspaniały świat! Potulni Anglicy może wytrzymają z tym przez jakiś czas, ale nie my, rdzenni mieszkańcy Kornwalii. Nikt nam nie odbierze naszych swobód. Minie rok, miną dwa lata i gdy tylko wyłizemy się z ran, wybuchnie następne powstanie, znów po-
leje się krew i jeszcze więcej serc zostanie złamanych. Ale wciąż będzie nam brakowało prawdziwego wodza. Ach, Richardzie, mój Richardzie, co za diabeł kazał ci się skłócić ze wszystkimi? Przecież

nawet król uważa cię teraz za wroga! Serce mi się ścisza na myśl, że popadłeś w niełaskę. Widzę, jak siedzisz przy oknie, samotny i pełen goryczy, patrzysz na monotonne równiny Holandii i dopisujesz ostatnie słowa do swej *Obrony*, której szkic Bunny przyniósł mi ostatnio do przeczytania.

O, nie pokładaj wiary w księżkach ani w żadnym z człowieczych synów, bo nie masz od nich pomocy. Gorzkie, bezradne słowa, które nie wnoszą niczego dobrego, najwyżej mogą wyrządzić kolejną szkodę.

Sir Richard Grenvile, mimo swej nieugiętej wierności, został publicznie napiętnowany jako złoczyńca, a rzeczoną wierność uznano za zbrodnię. Widać tak być musiało, módlmy się zatem do Boga, aby pobłogosławił Króla oddanymi doradcami, z których niechaj żaden nie waży się działać na szkodę ani samego monarchy, ani nikogo z jego krewnych. A co do sir Richarda Grenvile'a, to niech odejdzie razem ze swymi zasługami, jako stary żołnierz w służbie Króla. Obecnie nie jest potrzebny, ale jeśli sytuacja się zmieni, Rada o nim pomyśli, byle nie za późno. Vale.

Zawzięty, dumny, rozgoryczony do końca. Bo to już koniec, wiemy o tym oboje. Nic się już nie da zrobić, Richardzie, spaliłeś za sobą wszystkie mosty. Postrach i obiekt nienawiści zarówno przyjaciół, jak i wrogów. Generał Jego Królewskiej Mości na Anglię Zachodnią. Człowiek, którego kocham...

Kiedy wyspy Scilly poddały się parlamentowi, Jack z Bunnym, którzy dopiero co wrócili z Holandii i Francji, przyjechali na jakiś czas do swego domu w Stowe. Przy okazji wybrali się z wizytą do Rashleighów w Menabilly; zahaczyli też o Tywardreath, aby i mnie

złożyć wyrazy uszanowania. Rozmawialiśmy o Richardzie i Jack od razu wypalił:

– Stryj zmienił się nie do poznania. Godzinami siedzi przy oknie swego ponurego pokoju i obserwuje spływające po szybach krople deszczu. Boże, jak w tej Holandii leje! Nie życzy sobie żadnego towarzystwa. Pamiętasz, jak żartował i przekomarzał się z młodymi? Teraz, jeśli w ogóle się odezwie, to po to, żeby wytykać komuś błędy. Zrzędzi niczym złośliwy starzec i wciąż dokucza swoim gościom.

– Król już nigdy go do siebie nie wezwie i stryj o tym wie – dodał Bunny. – Kłótnia z Radą skwasiała mu humor na dobre. A już rozdmuchiwanie płomienia starej zwady z Hyde'em to istne szaleństwo.

Wtedy Jack, bardziej spostrzegawczy, widząc wyraz moich oczu, dodał pośpiesznie:

– Stryj zawsze był swoim najgorszym wrogiem, dla Honor to nic nowego. Tak naprawdę okropnie dokucza mu samotność. I brak widoków na przyszłość.

Na chwilę umilkliśmy wszyscy. Serce rwało mi się do Richarda i nie potrafiłam tego ukryć. Bunny odezwał się cicho:

– Stryj w ogóle nie wspomina o Dicku. Pewnie nigdy się nie dowiemy, jaki los go spotkał.

Poczułam, że robi mi się zimno. Powrócił stary koszmar. Opuściłam głowę, by nie widzieli mojej twarzy.

– Nie – powiedziałam wolno. – Tego nigdy się nie dowiemy.

Bunny bębnił palcami po stole, Jack leniwie przewracał kartki książki. Patrzyłam na spokojne wody zatoki i rybackie łódki sunące wokół Blackhead w drodze z Goran Haven. W zachodzącym słońcu ich żagle miały kolor bursztynu.

– Jeżeli – ciągnął Bunny, jakby dyskutował z samym sobą

– wpadł w ręce wroga, to dlaczego ten fakt ukryto? Zawsze mnie to intrygowało. Syn Richarda Grenvile’a jest nie lada kąskiem.

Nie odpowiedziałam. Jack poruszył się niespokojnie. Może małżeństwo wyostrzyło mu zmysł obserwacji – ożenił się zaledwie parę miesięcy przedtem – a może zawsze przejawiał więcej intuicji niż Bunny, w każdym razie doskonale wyczuwał stan mojego ducha.

– Nie ma sensu zagłębiać się w przeszłość – rzekł. – Tylko mężczymy tym naszą Honor.

Niebawem, ucałowawszy mi ręce, odjechali, ale przyrzekli odwiedzić mnie ponownie przed powrotem do Francji. Obserwowałam, jak galopują, młodzi i wolni, nietknięci przez lata, które minęły. Przyszłość do nich należała, tylko ją chwycić. Pewnego dnia król wróci do stęsknionego kraju, a Jack i Bunny, którzy tak dzielnie sprawiali się w jego służbie, doczekają się nagrody. Oczami wyobraźni widziałam ich już w Londynie, w Whitehall, opływających w zaszczyty i dostatki. Przed nimi całe lata świetności.

Wojna domowa odejdzie w niepamięć, wraz z poprzednim pokoleniem, które poświęciło życie dla sprawy... czy też raczej ją zaprzepaściło. To właśnie moje pokolenie. Nie zostanie po nas żadne dziedzictwo.

Siedziałam w fotelu, obserwując pogłębiające się cienie, gdy przyszedł Robin. Usiadł przy mnie i na swój burkliwy, lecz jednocześnie czuły sposób wypytywał, czy nie jestem zmęczona. Żałował, że bracia Grenvile’owie go nie zastali, ale zaraz zaczął opowiadać o jakiejś drobnej awanturze w sądzie w Tywardreath. Udając, że słucham, uświadomiłam sobie nie bez pewnego współczucia, jak bardzo pochłaniają go teraz te drobne codzienne sprawy. Tak naprawdę jednak wspominałam, jak niegdyś Robin z towarzyszami zyskali nieśmiertelną sławę brawurową, acz bezskuteczną obroną zamku

w Pendennis podczas tragicznych letnich miesięcy roku 1646. Jakże byliśmy z nich dumni, jak mocno biły dla nich nasze serca... A teraz? Rozwodzi się szeroko o pięciu kurach, ukradzionych pewnej wdowie z St Blazey. Może mimo wszystko nie jestem cyniczna, może po prostu zżerają mnie sentymentalne wspomnienia? I wtedy właśnie wpadł mi do głowy pomysł, by opisać wypadki tamtych lat. Przynajmniej pozbędę się brzemienia, które wciąż leży mi na sercu. Jak wojna odmieniła nasze życie, jak wszyscy zostaliśmy w nią wciągnięci, jak nas złamała, jak beznadziejnie splotły się ze sobą nasze losy. Gartred i Robin, Richard i ja, cała rodzina Rashleighów zamknięta w tym domu pełnym sekretów... Nic dziwnego, że w końcu ponieśliśmy klęskę. Nawet teraz Robin jeździ co niedziela na obiad do Menabilly, ale ja nie. Usprawiedliwia mnie choćby stan zdrowia. Wiedząc to, co wiem, nie mogłabym tam wrócić. Menabilly, gdzie rozegrał się nasz dramat, nadal stoi mi przed oczami, choć leży trzy mile od Tywardreath. Dom jest tak samo ogołocony i pusty jak w 1648 roku, gdy stamtąd wyjeżdżałam; Jonathan nie ma serca ani pieniędzy, aby doprowadzić go do poprzedniego stanu. Razem z Mary i wnukami zamieszkuje tylko jedno skrzydło. Modłę się, by na zawsze pozostali nieświadomi tej ostatniej tragedii. Dwoje ludzi zabierze sekret do grobu – Richard i ja. On przebywa w Holandii, setki mil stąd, ja zaś leżę na sofie w Tywardreath, ale cień przypory pada na nas oboje. Kiedy w niedzielę Robin wyrusza do Menabilly, towarzyszę mu myślą. Podążam przez park ku wysokim murom otaczającym dom. Brama stoi otworem, a zachodnia fasada patrzy na mnie z góry. Ostatnie promienie słońca padają prosto na moją dawną komnatę nad bramą, gdyż okiennice są otwarte, choć okna zamknięto na głucho. Pnie się po nich bluszcz, wypuszczając coraz to nowsze pędy. Gładki kamień przypory pokrywa inkrustacja porostów. Kiedy znika słońce, zachodnia ściana pogrąża się

w cieniu. Wewnątrz Rashleighowie siedzą przy posiłku w jadalni, a potem ze świecami w rękach rozchodzą się do swych pokoi, coś im się śni, aleja, w odległym Tywardreath budzę się w nocy na dźwięk dziecinnego głosu, wykrzykującego w przerażeniu moje imię. Chłopięce piąstki tłuką w ścianę i oto wśród nieprzenikniomych ciemności widzę przed sobą upiornego ducha Richardowego syna, który patrzy na mnie oskarżycielskim wzrokiem. Siadam w łóżku, spocona ze strachu, a wierna Matty, słysząc, że się wiercę, przychodzi i zapala świecę.

Przyrządza mi ciepły napój, rozciera obolałe plecy i otula szalem ramiona. W przyległym pokoju śpi nieświadomy niczego Robin. Próbuję czytać, lecz natłok myśli nie pozwala mi się skupić. Wreszcie Matty przynosi papier i pióro i zabieram się do pisania. Tak wiele mam do powiedzenia, a tak mało czasu... Bo nie ludzę się co do przyszłości. Niezależnie od wyrazu twarzy Robina instynkt podpowiada mi, że to już ostatnia jesień. Kiedy więc *Obrona* Richarda stanie się tematem rozmów całego świata, a potem spocznie na wieczne czasy w archiwach siedemnastego wieku, te wynurzenia zejdą wraz ze mną do grobu, gdzie – nieprzeczytane przez nikogo – zgniją wraz z moim ciałem, tak jak to sobie postanowiłam.

Wyznam w imieniu Richarda wszystko, co nigdy nie przeszło mu przez usta. Opowiem, jak mimo licznych wad i przewinień spotkał na swojej drodze kobietę, która pokochała go z całego serca, duszy i ciała. Ta kobieta to ja. Piszę więc w środku nocy, przy świeczce, a zegar na wieży kościelnej w Tywardreath wybija godzinę za godziną. Ciszę zakłócają jedynie westchnienia wiatru pod oknem i pomruk morza, gdy fala przyływu sunie przez piasek ku mokradłom.

2

Gartred ujrzałam po raz pierwszy, kiedy mój starszy brat Kit przywiózł ją tuż po ślubie do naszego domu w Lanrest. Miała wtedy dwadzieścia dwa lata, a ja dziesięć i byłam najmłodszym po Percym dzieckiem dużej, bardzo szczęśliwej i wolnej od trosk rodziny. Mój ojciec, John Harris, nie dbał ani trochę o sprawy tego świata. Pochłonięty końmi i psami, żył w spokoju, dogładając niewielkiej rodzinnej posiadłości, Lanrest. Ukryta w samym środku pierścienia wysokich drzew wysoko nad doliną Looe, należała do tych cichych, przytulnych siedzib, które zdają się drzemać przez lata, pławiąc się w miłości swoich mieszkańców. Nawet teraz, po trzydziestu latach, wystarczy, że zamknę oczy i pomyślę o domu, a zaraz uderza mnie w nozdrza znajomy zapach siana, rozgrzanego na słońcu i przewianego leniwym podmuchem wiatru. Widzę wielkie koło, młócaące wodę przy młynach w Lamettonie, wciągam w płuca duszną woń złotego ziarna. Niebo zawsze było tam aż białe od gołębi – krążyły z łopotem nad naszymi głowami, tak oswojone, że bez obawy dziobały ziarenka wprost z dłoni. Dreptały i gruchały, napuszone i dumne, przyczyniając się do pełnej spokoju, sielskiej atmosfery. Ich ciche pogwarki w długie letnie popołudnia dawały mi wiele

pociechy w późniejszych latach, kiedy bracia wśród śmiechów i wesołych okrzyków wyruszali na polowanie z sokołami, a ja nie mogłam im towarzyszyć. Ale to już inny rozdział, wróćmy więc do tego, jak poznałam Gartred. Ślub odbył się w jej rodzinnym domu w Stowe, lecz Percy'ego i mnie z powodu jakichś dziecięcych dolegliwości nie zabrano na tę uroczystość. Od samego początku wzbudziło to we mnie jakąś głupią niechęć do przyszłej bratowej. Niewątpliwie jako najmłodsza byłam bardzo rozpieszczona; bracia i siostry, a także rodzice psuli mnie na potęgę, toteż dobrze zakarbowałam sobie w pamięci, że panna młoda nie chciała na weselu dzieci i bała się zarazić naszą chorobą.

Pamiętam, jak siedziałam w łóżku z oczami błyszczącymi od gorączki, naprzykrzając się matce:

– Kiedy Cecilia wychodziła za mąż – Cecilia to moja starsza siostra – Percy i ja nieśliśmy tren, a potem pojechalśmy do Mothercombe i Pollexefenowie byli dla nas bardzo mili, chociaż pochorowaliśmy się z przejedzenia...

Matka odpowiedziała krótko, że tym razem jest inaczej. Stowe to nie Mothercombe, a i Grenvile'owie bardzo różnią się od Pollexefenów (wydało mi się to najsłabszym z argumentów), nigdy więc nie darowałyby sobie, gdyby Gartred zaraziła się gorączką. Gartred, w kółko ta Gartred, nikt inny się nie liczył! Potem rozpoczęła się nerwowa krzątania, bo trzeba było przygotować komnatę na wizytę młodej pary. Sprowadzono nowe zasłony, dywany i obicia, a wszystko dlatego, żeby Gartred nie pomyślała, że Lanrest jest zaniedbane i w kiepskiej kondycji. Służbę zagoniono do sprzątania i czyszczenia i cały dom przewrócono do góry nogami, tak że w końcu wszyscy mieli tego dość.

Gdyby chodziło tylko o Kita, mojego kochanego braciszka o gołębim sercu, nigdy w życiu nie ośmieliłabym się uskarżać. Ale

Kit w ogóle dla nich nie istniał. Wszystko to było dla Gartred. Jak każde dziecko, podsłuchiwałam plotkującą służbę.

– Poślubiła naszego panicza tylko dlatego, że jest dziedzicem sir Christophera z Radfordu. – To zdanie ciągle się powtarzało wśród brzęku naczyń w kuchni.

Uczepiłam się tego strzępu informacji i obracałam go w myślach razem z opinią rządcy:

– To nie w stylu Grenville’ów, żeby łączyć się z jakimś tam pospolitym Harrisem z Lanrest.

Poczułam gniew, a zarazem wstyd. Określenie „pospolity” odnosiło się moim zdaniem do wyglądu mojego brata, którego uważałam za przystojnego. I dlaczegoż to Harris z Lanrest ma być kiepskim nabytkiem dla panny Grenville? Owszem, Kit rzeczywiście był dziedzicem stryja Christophera z Radfordu – wielkiego warownego dworu po drugiej stronie Plymouth – ale nigdy dotąd nie przywiązywałam do tego wagi. Teraz po raz pierwszy dotarło do mnie, że małżeństwo nie jest tylko romansem z bajki, jak sobie wyobrażałam, ale też poważnym przedsięwzięciem, układem między wysokimi rodami, połączeniem dwóch majątków. Kiedy Cecilia wychodziła za Johna Pollexefena, którego znała od dziecka, nawet mi to nie przyszło do głowy, teraz jednak ojciec ciągle kursował między Lanrest a Stowe, odbywał długie narady z prawnikami, a na jego czole często gościła pionowa zmarszczka. Małżeństwo Kita urastało do rozmiarów jakiejś wielkiej sprawy wagi państwowej, która w razie niepowodzenia mogła pogrążyć kraj w chaosie.

Kiedys podsłuchiwałam prawnika.

– To wcale nie sir Bernard Grenville wynajduje przeszkody, tylko jego córka. Owinęła sobie ojca wokół palca.

Przetrawiałam tę wiadomość przez jakiś czas, a potem powtórzyłam mojej siostrze Mary.

– Czy to normalne, żeby narzeczona wyklócała się o posag? – zapytałam z niewątpliwie irytującą powagą.

Mary nie odpowiedziała od razu. Mimo ukończonych dwudziestu lat niewiele wiedziała o życiu, może nawet mniej niż ja. Widziałam jednak, że była zgorzozona.

– Gartred jest jedyną córką – odparła po chwili. – Pewnie uznała, że musi dbać o własne sprawy.

– Ciekawe, czy Kit o tym wie. Coś mi się zdaje, że nie byłby zachwycony.

Wtedy Mary kazała mi trzymać język za zębami i zauważyła, że robi się ze mnie jędza, co w nikim nie wzbudzi entuzjazmu. Nie dałam się jednak zniechęcić i chociaż nie wspomniałam braciom o tamtych targach, poszłam naprzykrzać się Robinowi – już wtedy mojemu ulubieńcowi – żeby opowiedział mi coś o Grenville’ach. Dopiero co wrócił z polowania i stał na podwórzu przy stajni, zarumieniony i szczęśliwy, z sokołem na nadgarstku. Pamiętam, że się cofnęłam, bo jak zawsze bałam się złych, głęboko osadzonych oczu ptaka i krwi na jego dziobie. Nie pozwalał się tknąć nikomu poza Robinem, który właśnie gładził mu pióra. Na podwórzu panował harmider; stajenni wycierali konie po biegu, a w kącie przy studni karmiono psy.

– Cieszę się, że to Kit szuka sobie żony, a nie ty – oświadczyłam, czując, że sokół łypie na mnie spod przymkniętych powiek.

Robin uśmiechnął się i dotknął wolną ręką moich loków, na co ptak nastroszył się ze złości.

– Gdybym ja był najstarszym synem, pewnie mnie przypadłaby na tym weselu rola pana młodego.

Zerknęłam na niego z ukosa i zauważyłam, że zniknął mu z twarzy uśmiech, zastąpiony przez wyraz smutku.

– Dlaczego? Czy ona woli ciebie?

Robin odwrócił się raptownie i nasunawszy kaptur ptakowi, oddał go w ręce sokolnika. Kiedy mnie podnosił, już znowu się uśmiechał.

– Chodźmy zrywać wiśnie. Daj sobie spokój z narzeczoną Kita.

– Ale ci Grenville’owie? – nastawałam, gdy niósł mnie w ramionach do sadu. – Czemu mamy być tak strasznie dumni z ich powodu?

– Bevil Grenville to najwspanialszy chłop na świecie. Kit, Jo i ja studiowaliśmy z nim w Oksfordzie. A jego siostra jest bardzo piękna.

Więcej nie udało mi się z niego wyciągnąć. Ale drugi brat, sarkastyczny i dociekliwy Jo, któremu później zadałam to samo pytanie, wyraził zdumienie z powodu mojej tępoty.

– Droga Honor, czyżbyś dożyła poważnego wieku dziesięciu lat, nie wiedząc, że w Kornwalii liczą się tylko dwa rody: Grenville’ów i Arundellów? To jasne, że skromny dom Harrisów ugina się pod zaszczytem, jakiego ma dostąpić nasz drogi brat Kit wraz z boską rączką ołśniewającej Gartred.

Po czym wetknął nos w książkę i taki był koniec rozmowy. W następnym tygodniu wszyscy wyjechali do Stowe na wesele. Musiałam zdobyć się na cierpliwość aż do ich powrotu, a wtedy, jak się zresztą obawiałam, matka wymówiła się zmęczeniem, podobnie jak reszta rodzeństwa. Wydawali się apatyczni i wytrąceni z równowagi po tak długim ucztowaniu i zabawie. Tylko trzecia z moich sióstr, Bridget, dała upust wrażeniom. Rozpływała się nad przepychem Stowe i gościnnością Grenville’ów.

– Nasza rezydencja to domek rządcy w porównaniu ze Stowe. Całe Lanrest z przylegającymi gruntami zmieściłoby się w jednej ich kieszeni. Przy kolacji za moim krzesłem stało dwóch służących, a na galerii cały czas grali muzykanci.

– Ale Gartred, co z Gartred? – pytałam gorączkowo.

– Czekaj, zaraz ci powiem. Zaproszono ze dwie setki gości i spałyśmy z Mary w pokoju większym niż którykolwiek z naszych. Miałyśmy do dyspozycji służącą, która nawet nas czesała. A pościel codziennie zmieniano i skrapiano perfumami.

– I co, i co jeszcze? – drążyłam, trawiona zazdrością.

– Ojciec chyba czuł się trochę zagubiony. Widywałam go od czasu do czasu, pogrążonego w rozmowie, ale wyglądał sztywno, jakby coś go dusiło. Wszyscy panowie byli tak postrojeni, że prezentował się przy nich dość mizernie. Sir Bernard to bardzo przystojny mężczyzna. W dniu ślubu miał na sobie błękitny kaftan szamerowany srebrem, a nasz ojczulek nosił ten swój ciasnawy zielony. Sir Bernard jest od niego znacznie wyższy i razem wyglądali trochę śmiesznie.

– Mniejsza o ojca. Chcę słuchać o Gartred.

Bridget uśmiechnęła się z wyższością.

– Najbardziej lubię Bevila – wyznała. – Jak wszyscy zresztą. Wszędzie go było pełno, doglądał, czy goście mają wszystko, co potrzeba. Lady Grenvile jest ździebko sztywna, ale Bevil to sama uprzejmość i wdzięk. – Zamilkła na chwilę. – Wiesz? Oni wszyscy mają rude włosy – dodała ni w pięć, ni w dziewięć. – Jak zobaczysz kogoś z taką czupryną, to ani chybi Grenvile. Jeden mi się nie podobał. – Skrzywiła się. – Richard.

– Dlaczego? Taki z niego brzydka?

– Nie... Jest nawet przystojniejszy niż Bevil. Ale spoglądał na nas w taki szyderczy, pogardliwy sposób, a kiedy nadepnął mi na suknię, nie raczył nawet przeprosić. „Samaś sobie winna, panienko – miał czelność powiedzieć. – Czemu nie zbierzesz spódnicy w tym kurzu?” Podobno służy w wojsku.

– Ale Gartred, co z Gartred? Nawet jej nie opisałaś.

Wtedy, ku mojej udręce, Bridget ziewnęła i wstała.

– Oooch, taka jestem zmęczona! Na dziś koniec, musisz zaczekać do rana. Ale Mary, Cecilia i ja zgadzamy się co do jednego: każda z nas chciałaby być do niej podobna.

Teraz wreszcie miałam wyrobić sobie własne zdanie. Staliśmy wszyscy w holu, by ich powitać – jechali z Radfordu, posiadłości stryja, dokąd udali się w pierwszej kolejności. Na odgłos końskich kopyt psy wypadły na dziedziniec.

Zebrała się spora gromada witających, bo gościli u nas Pollexefenowie. Cecilia trzymała w ramionach malutką Joan (moją pierwszą chrześniaczkę, co napawało mnie wielką dumą). Wszyscy roześmiani i rozgadani, szczęśliwi – jedna wielka rodzina, która zna się na wylot. Rozpromieniony Kit zeskoczył z siodła... i wtedy ujrzałam Gartred. Mruknęła coś do męża, a ten zaśmiał się, poczerwieniał i wyciągnął ręce, by jej pomóc. W przeblysku intuicji odgadłam, że to, co powiedziała, miało związek z ich intymnym życiem i nie dotyczyło nas, jego bliskich. Kit nie był już nasz, należał do Gartred.

Trzymałam się z tyłu, bo nie cierpiałam prezentacji, ale nagle Gartred znalazła się przy mnie i jej chłodna dłoń uniosła mi podbródek.

– Ty pewnie jesteś Honor?

Ton sugerował, że jestem mała jak na mój wiek albo brzydka, a w każdym razie nie spełniam jej oczekiwań. Z aroganckim uśmiechem przeszła do salonu przed moją matką, a reszta rodziny podążyła za nimi niczym zafascynowane światłem ćmy. Percy, jak to chłopak, wpatrzony w piękną bratową, od razu do niej podszedł; włożyła mu do ust kandyzowany owoc. Przygotowała wcześniej łakocie, aby przekupić nas, dzieci, tak jak się obłaskawia psy.

– Czy i Honor ma ochotę? – spytała z lekkim szyderstwem w

głosie, jakby instynktownie wyczuła, że najbardziej nie znoszę, kiedy traktuje się mnie jak dziecko.

Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Coś mi przypominała... i nagle już wiedziałam. Znów byłam małym dzieckiem w Radfordzie, u stryja, który oprowadzał mnie po swoich szklarniach. Jeden kwiat – orchidea – rósł zupełnie sam. Miał kolor kości słoniowej z żyłkami ciemnej czerwieni na płatkach, a intensywnym miodowym zapachem doprowadzał mnie do mdłości. Był to najpiękniejszy kwiat, jaki w życiu widziałam. Wyciągnęłam dłoń, by pogłodzić aksamitne płatki, ale wuj złapał mnie za rękę.

– Nie dotykaj go, dziecko. Łodyga jest trująca.

Cofnęłam się, wystraszona. Tak, teraz zauważyłam, że łodyga jeży się ostrymi i lepкими włoskami. Wyglądały jak tysiące miniaturowych mieczy.

Gartred była taka sama. Kiedy podała mi smaczny kąsek, odwróciłam się i potrząsnęłam głową. Ojciec, który nigdy w życiu nie odezwał się do mnie szorstko, zwrócił mi ostro uwagę:

– Honor, jak ty się zachowujesz?!

Gartred roześmiała się i wzruszyła ramionami. Wszyscy zwrócili na mnie potępiający wzrok i nawet Robin zmarszczył brwi. Matka kazała mi iść na górę, do mojego pokoju. Oto jak Gartred zaprezentowała się w Lanrest.

Małżeństwo Kita trwało trzy lata i nie zamierzam rozwodzić się na ten temat. Od tego czasu tyle się wydarzyło, że późniejsze życie Gartred widzę bardziej jaskrawo, a batalie, jakie toczyłyśmy ze sobą w tamtych wczesnych latach, zbladły mi w pamięci i stały się nieistotne. Jedno jest pewne: nieustannie byliśmy na wojennej ścieżce. Gartred – młoda, pewna siebie, dumna – i ja, naburmuszone dziecko, ciągle podglądające ją zza drzwi czy parawanów, zdawałyśmy sobie świetnie sprawę z naszej wzajemnej wrogości.

Młoda para częściej przebywała w Radfordzie i Stowe niż w Lanrest, ale kiedy przyjeżdżali, przysięgam, że na cały dom padał cień. Wciąż jeszcze byłam dzieckiem, nie potrafiłam więc tego wytłumaczyć, ale dzieci, podobnie jak zwierzęta, mają nieomylny instynkt. Małżeństwo okazało się bezdzielne, to pierwszy cios. Wiem, że rodzice czuli się zawiedzeni, bo słyszałam, jak o tym rozmawiali. Cecilia zjeżdżała regularnie na kolejne porody, ale nigdy nie słyszałam najmniejszych plotek o Gartred. Jeździła konno i polowała z sokołem jak my, i nie przesiadywała w swoim pokoju, uskarżając się na zmęczenie, co często zdarzało się Cecilii. Raz matka zdobyła się na uwagę:

– Kiedy ja wyszłam za mąż, droga Gartred, nigdy nie jeździłam konno ani nie polowałam, bo bałam się poronienia.

Na co moja bratowa, która właśnie przycinała paznokcie małutkimi nożyczkami ozdobionymi macicą perłową, podniosła na nią wzrok i odparła:

– Nie ma w moim brzuchu niczego, co mogłabym poronić, za który to stan rzeczy możecie winić tylko swojego syna.

Mówiła cichym, pełnym jadu głosem. Matka wlepiła w nią zdumiony wzrok, a po chwili podniosła się i wyszła, zmieszana. Wówczas po raz pierwszy poczuła ten jad. Co do mnie, to z całej rozmowy zrozumiałam tylko tyle, że Gartred ma o coś żal do mojego brata, gdyż niebawem Kit wpadł do pokoju i podchodząc do niej, spytał z wyrzutem:

– Czy oskarżyłaś mnie przed matką?

Spojrzeli na mnie znacząco i domyśliłam się, że powinnam ich zostawić samych. Wyszłam do ogrodu i zaczęłam karmić gołębie, ale spokój opuścił już nasz dom. Od tej pory wszystko układało się źle i między nimi, i między nami wszystkimi. Kit wyraźnie się zmienił. Obnosił się z urażoną miną, zupełnie jak nie on, a jego

stosunki z ojcem, dotychczas takie serdeczne, znacznie się oziębiły. Stał się też napastliwy, i to nie tylko wobec ojca, ale także w stosunku do reszty rodziny. Już nie podobał mu się nasz tryb życia; wciąż porównywał Lanrest do Radfordu, a jednocześnie dziwnie płaszczył się przed Gartred. Ta wstrętna uniżoność nie miała w sobie nic z czułości, a w moich bezkompromisowych oczach czyniła go wręcz podłym. W następnym roku wybrano go na posła z okręgu West Looe, więc oboje wiele czasu spędzali w Londynie, ale kiedy zjeżdżali do Lanrest, samą swoją obecnością wywoływali atmosferę napięcia. Pewnej nocy, gdy rodzice gdzieś wyjechali, Kit i Robin okropnie się pokłócili. Był środek lata, w powietrzu wisiał duszny upał, więc wymknęłam się z dziecinnego pokoju i w koszuli nocnej przedostałam do ogrodu. Wszyscy domownicy spali; pamiętam, jak przekradałam się chyłkiem pod oknami niczym mały duszek. Przez otwarte na oścież okna gościnnej komnaty dobiegł mnie podniesiony głos Kita. Jakaś diabelska ciekawość zmusiła mnie do podsłuchiwania.

– Zawsze to samo, gdziekolwiek pojedziemy! – krzyczał. – Robisz ze mnie durnia w oczach wszystkich ludzi, a dziś nawet wobec mojego rodzzonego brata. Powiadam ci, dłużej tego nie zniosę!

Usłyszałam śmiech Gartred. Cień Kita przesunął się po suficie w świetle drżącego płomienia świecy. Przez chwilę mówili cicho, lecz nagle brat wybuchnął:

– Myślisz, że jestem ślepy? Według ciebie upadłem tak nisko, że zamknę oczy na wszystko, bylebym czasem mógł cię dotknąć? Uważasz, że było mi miło patrzeć, jak spoglądasz na Antony'ego Denysa tamtego wieczoru w Stowe, kiedy niespodziewanie wróciłem z Londynu? Przecież on ma dorastające dzieci, a jego żona jeszcze nie ostygła w grobie! Czy ty w ogóle nie masz litości?

W jego głosie znów odezwała się ta płacziwa nuta, której tak

nienawidziłam. I znów Gartred zaśmiała się w odpowiedzi.

– A dziś wieczorem przy stole – ciągnął Kit – szczyrzyłaś zęby do niego, do mojego brata!

Zrobiło mi się niedobrze i trochę się wystraszyłam, czułam jednak zarazem dziwne podniecenie. Serce waliło mi jak młotem. Nagle usłyszałam szelest i obejrzałam się przez ramię. W ciemnościach za moimi plecami stał Robin.

– Odejdź stąd – szepnął. – Odejdź w tej chwili.

Pokazałam mu otwarte okno.

– To Kit i Gartred – wyjaśniłam. – Jest na nią wściekły, bo uśmiechała się do ciebie.

Robin gwałtownie wciągnął powietrze. Potem odwrócił się, jakby chciał odejść, i w tym momencie Kit wrzasnął strasznym głosem:

– Jeśli do tego dojdzie, to cię zabiję! Przysięgam na Boga, zabiję!

Wtedy Robin błyskawicznie chwycił kamień i rzucił nim w otwarte okno; szyba stłukła się na drobne kawałki.

– A wtedy Bóg cię przeklnie za tchórzostwo! Lepiej zejdź tutaj i zabij mnie zamiast niej!

Spojrzałam w górę i zobaczyłam Kita, z bladą i udręczoną twarzą, a z tyłu Gartred z rozpuszczonymi włosami. Obraz ten wrył mi się w pamięć na zawsze: dwoje ludzi w oknie – na dole zaś Robin, nagle inny niż brat, którego tak dobrze znałam i kochałam, ziejący pogardą, z wyzwaniem w oczach. Poczułam wstyd za niego, za Kita, za siebie, ale przede wszystkim wezbrała we mnie fala nienawiści do Gartred, która rozpętała całą tę burzę, a sama pozostała nietknięta.

Odwróciłam się i uciekłam, zatykając palcami uszy. Wśliznęłam się do łóżka bez słowa i naciągnęłam kołdrę na głowę; drża-

łam ze strachu, że rano zobaczę na trawniku trzy rozsiekane ciała. Ale tego, co działo się później, nigdy się nie dowiedziałam. Nastął dzień i wszystko było jak przedtem, tylko Robin wyjechał zaraz po śniadaniu i nie wrócił, póki Kit z Gartred jakieś pięć dni później nie wyruszyli do Radfordu. Czy ktoś z rodziny domyślił się, co zaszło? Tego także nigdy nie odkryłam. Byłam zbyt wystraszona, by pytać, poza tym odkąd pojawiła się wśród nas Gartred, zanikł nasz stary zwyczaj dzielenia się z rodziną troskami. Staliśmy się wobec siebie uprzejmiejsi, ale i bardziej skryci.

W następnym roku, 1623, przetoczyła się przez Kornwalię epidemia ospy – istny bicz boży. Ledwie kilka rodzin zostało oszczędzonych. W Liskeard ludzie barykadowali się w domach, sklepikarze zamykali okiennice i ze strachu przed zarazą zamarł wszelki handel.

W czerwcu zachorował mój ojciec i po kilku dniach zmarł. Nie zdołaliśmy jeszcze otrząsnąć się z tego ciosu, kiedy nadeszła wiadomość od stryja z Radfordu, że i Kita dosięgła zaraza i nie ma nadziei na jego wyzdrowienie.

Tak więc ojciec i syn odeszli w przeciągu kilku tygodni, a głową rodziny został nasz uczony Jo. Zbyt mocno cierpieliśmy po podwójnej stracie, by zaprzętać sobie głowę Gartred, która na pierwszą wieść o zarazie uciekła do Stowe i dzięki temu uniknęła podobnego losu. Kiedy jednak przyszło do ogłoszenia dwóch testamentów, dowiedzieliśmy się, że chociaż Lanrest, a później Radford miały przejść w ręce Jo'a, to żyzne łąki Lamettonu oraz młyn przypadły dożywotnio Gartred.

Zjechała wraz z bratem Bevilem na odczytanie testamentu i nawet Cecilia, najłagodniejsza z moich sióstr, poczuła się zgorazona i urażona jej chłodnym zachowaniem i skąpstwem, z jakim doglądała odmierzenia każdego akra w Lamettonie. Bevil, nasz bliski

sąsiad z Killigarth, już żonaty, robił, co w jego mocy, żeby załagodzić nieprzyjemne wrażenie, i chociaż dopiero co wyrosłam wtedy z dziecięcego wieku, do dziś pamiętam, jak bardzo było mi za niego przykro. Nic dziwnego, że wszyscy go kochali. Zastanawiałam się w duchu, co naprawdę myślał o swojej siostrze, której uroda zmaćciła mu umysł tak samo jak każdemu mężczyźnie.

Kiedy wreszcie załatwiono sprawy spadkowe i Bevil z Gartred odjechali, wszyscy chyba odetchnęli z ulgą, że obeszło się bez żadnego zatargu, który niechybnie wywołałby waśń między naszymi rodzinami. Matka nic wprawdzie nie mówiła, ale na wieść, że Lanrest przypadło Jo'owi, na pewno kamień spadł jej z serca.

Przez cały czas tej wizyty Robin pozostawał poza domem i chyba nikt poza mną nie potrafiłby odgadnąć przyczyny.

Rankiem w dniu wyjazdu Gartred jakiś impuls kazał mi przystanąć na chwilę przed jej sypialnią i przez otwarte drzwi zajrzeć do środka. Ponieważ oświadczyła, że całe urządzenie pokoju należało do Kita, a tym samym do niej, służba przez cały poprzedni dzień zajmowała się ściąganiem zasłon i wynoszeniem wybranych mebli. Teraz, w tej ostatniej chwili przed wyjazdem, Gartred była sama i właśnie wyciągała z kąta małą sekretkę. Nie wiedziała, że ją obserwuję, i wreszcie mogłam zobaczyć tę śliczną twarz bez maski. Ze zmrużonymi oczami i wysuniętą wargą szarpała szufladkę z taką siłą, że ta w końcu rozpadła jej się w ręce. Było tam kilka błyskotek, raczej niewielkiej wartości, ale Gartred o nich nie zapomniała. Nagle zobaczyła mnie w lustrze.

– Nie krępuj się, wystarczą nam gołe ściany – powiedziałam, kiedy nasze oczy się spotkały. Ojciec, gdyby żył, wysmagałby mnie za to batem, bracia zresztą także, ale na szczęście żaden mnie nie słyszał.

– Od samego początku mnie szpiegowałaś – odezwała się

cicho. Nie uśmiechnęła się, bo w końcu nie byłam mężczyzną.

– Mam przecież oczy.

Nie spiesząc się, wsunęła klejnoty do woreczka przy pasku.

– Bądź wdzięczna losowi, że się mnie pozbywasz. Nie sądzę, byśmy się jeszcze spotkały.

– I ja mam taką nadzieję.

Nagle się zaśmiała.

– Szkoda, że twój brat nie miał choć trochę takiego temperamentu!

– O którym bracie mówisz?

Umilkła na chwilę, niepewna, ile wiem, a potem dotknęła swojego policzka smukłym palcem.

– O wszystkich – odparłam.

Odwróciła się plecami i przywołała służącą z sąsiedniego pokoju. Schodziłam wolno na dół z głową pękającą od pytań. W holu zobaczyłam Jo'a, który wodził palcem po wielkiej mapie na ścianie. Minęłam go bez słowa i wyszłam do ogrodu.

Gartred wyjechała w karecie, za którą ciągnął się długi rząd koni i sług ze Stowe, dźwigających jej dobytek. Z kryjówek wśród drzew obserwowałam, jak znikają w tumanie kurzu na drodze do Liskeard.

– No i po wszystkim – powiedziałam do siebie. – To już ostatnia z tej rodzinki. Nareszcie koniec z Grenville'ami!

Los jednak zdecydował inaczej.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).